

Dziś podróżujemy 24 razy szybciej

aniżeli przed 80 laty
Z Europy do Australji w 70 godzin zamiast 70 dni

W poszukiwaniu złota

Gdy w r. 1849 odkryto w Kalifornji pokłady złota, wywołało to istny przewrót w St. Zjednoczonych, odludne bowiem dotąd wybrzeże zaczęło się rozwijać i w szybkim czasie prześcignęło wiele stanów pod względem nie tylko bogactwa, ale i zaludnienia.

Gorączka złota udzieliła się wówczas wszystkim. Geologowie szukali zaczęli cennego kruszcza w każdym zakątku ziemi. I, o dziwo, już w r. 1850 wydobyto skromne, oprawda, ilości złota w Australji. W ciągu roku, który nastąpił po tych pierwszych odkryciach, znaleziono dalsze pokłady. Były one o tyle obfite, że ci, którzy na nie trafili, od razu zostali bogaczami.

W dziejach Australji był to moment zwrotny. Wiadomość o tych odkryciach lotem błyskawicy obiegła cały ląd, płące podskoczyła w sposób fantastyczny, podróżowała odpowiednio żywność i t. p. Postrzygacze owiec i robotników rolnych nie można było wcale dostać, a nawet wielcy hodowcy bydła porzucali swe stada bez żadnej opieki i dążyli ku złotodajnym terenom. Za nimi pobiegli też lekarze, adwokaci, pastory. W tych warunkach nikogo nie dziwiło, iż załogi przybywających do Melbourne okrętów, uciekały tego samego dnia, kiedy zarzucono kotwicę. Tylko w czerwcu 1852 r. w jednym z mniejszych portów australijskich 50 żaglowców znalazło się bez jednego bodaj członka załogi.

Wysiłki towarzystwa okrętowych

Wiść o złocie przedostała się szybko i do kraju macierzystego — do Anglii, gdzie powstało tak niesłychane parcie w kierunku po dróż do Australji, że linie okrętowe nie mogły mu w żaden sposób podać przy dotychczasowym swym taborze. Ludność miast australijskich powiększała się w ciągu roku wielokrotnie. Tak np. Melbourne urosło z 23 do 70 tysięcy.

Właściciele angielskich linii okrętowych, pragnąc zaradzić natłokowi chętnych wyjazdów do Australji, wycofali wszystkie niemal okręty z komunikacji z Indjami i przeznaczyli je na obsługę linii australijskiej; to samo zrobiono też z okrętami, które dotąd kursowały do St. Zjednoczo-

nych. Były to półśrodki jedynie, gdyż nowym warunkom gromadnej emigracji do Australji mogło sprostać tylko zbudowanie wielu okrętów pośpiesznych, dostosowanych do nowych potrzeb.

Przed 90 laty

Bo dotąd podróżowano do Australji w warunkach wprost nie do wiary. Oczywiście, podróż odbywała się na żaglowcach. Trwała ona z Liverpool do Melbourne pięć miesięcy. Gdy zerwała się

burza, jazda na takim okręcie ulegała pierwotnym nawet wymaganiom higieny. Sale emigrantów były źle wietrzone, po jedzeniu, podczas niepogody, nie było gdzie pójść, to też całymi dniami nie sprzątało tam wcale. Nie dziwnego, że śmiertelność wśród pasażerów na takich okrętach była bardzo znaczna.

Teraz dopiero, po odkryciu kopalni złota, linie okrętowe gruntownie zmieniły swe statki, a prze-

dewszystkiem przeznaczyły je wyłącznie dla pasażerów, gdy dawniej wożono głównie towary. Czas jazdy dzięki temu znacznie został skrócony i wynosił „tylko” 70 do 80 dni. Za rekordowy uważano wtedy przejazd okrętu „Marco Polo”, który podróż do Melbourne odbył w 68 dni, a drogę powrotną — w 76 dni.

Przewrót w żegludze

W r. 1855 jedna z linii okrętowych w Liverpool zamówiła w najwięcej podówczas stoczni St. Zjednoczonych cztery wielkie okręty, których wyczyny podczas podróży do Australji były wprost rekordowe dla statków żaglowych. Ich szybkość była tak znaczna, iż żaden inny okręt im nie dorównał, wogóle zaś ta szybkość nie została osiągnięta przez żaden żaglowiec aż do naszych czasów.

Pierwszy z tych okrętów, „James Baines”, wyruszył 9 grudnia 1854 r. z Liverpool i dotarł 12 lutego 1855 do Melbourne. Jego podróż trwała 63 dni 18 godzin 15 minut. Ten rekordowy czas osiągnięty został po raz drugi dopiero w r. 1869 przez słynny żaglowiec „Termopile”.

Okręty z typu owych czterech przebywały nieraz w ciągu doby niewiarygodne przestrzenie, bo ponad 400 mil morskich (przeszło 740 km.) A 1 marca 1854 jeden z tych właśnie okrętów, „Lightning”, przebył w ciągu doby 436 mil morskich, czyli ponad 807 km.!

Zamiast 70 dni 70 godzin!

Te rekordowe skróty czasu podróży do Australji, zamiast pięciu miesięcy — 70 dni, stanowiły w swoim czasie prawdziwy przewrót w komunikacji morzem. Dalszym wysiłkiem ludzkiego geniuszu było doprowadzenie tego czasu w ciągu lat paru zaledwie do 63 dni, który to czas był na długie lata niezdobyty przez żaden okręt rekordem. Ale nam, żyjącym w wieku pary, silników spalinywych, elektryczności i lotnictwa, wszystkie te rekordy komunikacji żaglowej już nie imponują. Bo co znaczą one w porównaniu z wynikiem wielkiego lotu Londyn — Melbourne, którego zwycięzca odbył całą drogę w ciągu 70 godzin!

Podróżujemy więc dziś 24 razy szybciej, aniżeli w połowie wieku ubiegłego.

W. C.

A propos

Język gastronomów

Ilećż zdarzy mi się wziąć do ręki kartę dań w restauracji, przycho- dzą mi do głowy dziwne podejrzenia. Już samo słowo „restauracja” budzi we mnie mgliste refleksje, załatwia- ce jakby politykę, jakby tajemnicami politycznymi... Gdy czytam spis potraw, podejrzenia rosną.

Cóż to znaczy „rozbeł”? W języku śmiertelnych niema słowa befać, ani tembardziej „rozbeł”. Cóż więc zna- czy ten tryb rozkazujący? Kogo mam rozbeł? Czy też kogo mam befać? Dalej „file sote”. Cóż to znaczy? W jednej restauracji znalazłam warjant „file sote”. A więc należałoby się domyślać, że istnieje słowo „filic” i facet zawiadania, że fili jakies sote. Ale coż to jest sote? Czy też może socie? Może to przysłówek? Może to znaczy coś w rodzaju „szybko”? „Przedko”? „Wszystko”? Czemś w tem rodzaju jest „garni”, przypomi- nające ruskie „rad”.



A potem dziwne słowo „de wolaj”. Tu prawie jestem pewny, że to jakieś

nazwisko. Może to ów mityczny Ja- kub de Wolaj? W takim razie „gar- ni de Wolaj” byłoby czemś w rodza- ju świętego zaklęcia, inwokacji. Co do słowa „szampia” nie mam wątpli- wości także. Wprawdzie raz spotka- łem pismo „szampinię”, ale for- ma „szampia” wydaje mi się bar- dziej prawidłowa, temwięcej, że spo- tykam ją częściej. To jest skrócona forma „pię szampiana”. Sam często, zamiast np. „kawa rozprawa” mó- wie „rozkrawa”, albo zamiast „czap- ka korporacyjna” — „korpka”. Roz- umiem więc doskonale skróty: „szam- pię”, „szampia”, „szampicie, szam- pia. Nie wiem, natomiast, co to jest „kakabry”. Sądze, że to przymiotnik, trochę błędnie napisany. Powinno być „kakabry”.

Nie mam też zielonego pojęcia, co to znaczy „radyski”? Czyżby to imię „Radyska”? Jeżeli tak, to ciekaw je- stem, jak wygląda ta zagadkowa Ra- dyska? Radysko droga, choć cię po- znać. Napisz do mnie.

Krótko mówiąc, gdy czytam karty restauracyjne, przychodzi mi do głó- wy, że to jakiś tajemniczy język. Za- konspirowany szyfr mafji. Prawdo- podobnie istnieje mafia gastronomów, którzy porozumiewają się w ten spo- sób. Wyobrażam sobie, że gdy ja weinam kotlet, tam gdzieś, w zaka- markach, odbywają się gorączkowe szepty.

— Garni de Wolaj! — szepta je- den z rozpacz — tam szampia! Co fili? Co filic? — Rozbeł sote Radyskę! — Radyska kakabry! — Sote garni, befać!

Very.

Powieść topielca Niezwyczajny trick reklamowy

Z Kopenhagi donoszą o niezwyk- łym wydarzeniu, dzięki któremu Ka- rin Holmes, nieznana dotąd powie- ściopisarka, stała się od razu sławną. Kilka miesięcy temu znaleziono na redzie portowej w Kopenhadze marynarkę męską, pozostawioną, jak ogólnie sądzono, przez osobnika, który popełnił samobójstwo w falach morza. W kieszeniach nie natrafio- no na żaden dowód, mogący ustalić tożsamość właściciela marynarki. Znaleziono natomiast obok rękopis powieści.

Wydawcy prasy stołecznej nie mogli wskazać na autora, wyrazili jednak gotowość wydania powieści, w tem przekonaniu, że mogłoby to posłużyć policyj do odnalezienia śla- dów po tajemniczym zaginionym. Powieść doznała olbrzymiego powo-

żenia wśród mieszkańców Kopen- hagi.

Do redakcji pisma, które wydru- kowało powieść w odcinku, zgłosiła się ostatnio pewna pani, nazwiskiem Karin Holmes. Opowiedziała, że w charakterze sublokatora mieszkała u niej imoby literat rosyjski, Sergej Sipon, którego kilka utworów ona przetłumaczyła na język duński, włącznie z powieścią, znaną jako marynarka na redzie.

O literacie tym nie miała już od pewnego czasu żadnych wieści, była też przekonana, że odebrał sobie ży- cie. To samo zeznała na policyj.

Sprawa stawała się coraz cieka- wszą. Prasa się nią zajęła, prosząc m. in., by p. Holmes dostarczyła dal- szych rękopisów Sergeja.

Policyja zapatrywała się jednak na to wszystko dosyć sceptycznie i nie- ufnie. Żaden bowiem z sąsiadów p. Holmes, jak wykazało śledztwo, nie znał ani nigdy nie widział na oczy owego legendarnego młodego Rosja- nina, który, jak twierdzi p. Holmes, nie był zgłoszony policyjnemu, ponie- waż obawiał się przesładować ze strony rządu sowieckiego.

Wątpliwości piętrzyły się tak, że wzięta w krzyżowy ogień przez ko- misarza policyj, p. Holmes przyna- ła, że Sergej Sipon istniał jedynie w jej „literackiej” fantazji, oraz że całe „samobójstwo”, przez nią wy- reżyserowane, było tylko trickiem, by znaleźć wydawcę na własne u- twory.

Policyj jednak nie podobał się po- mysłowy kawał autorki, którą posta- wiono w stan oskarżenia za wpro- wadzenie w błąd władzy i fałszywe doniesienie.

Pani Karin Holmes otrzymała przy- puszczalnie lekką karę za swój nie- zwykły pomysł, lecz, jak twierdzi prasa kopenhaska, sławę zdobyła szturmem i dziś należy do najpo- czynniejszych literatów Danji.

Podróżuj samolotem

J. Jukowski

MAŁY GARNIZON

POWIEŚĆ

Dalecki, zdawało się, że nie słyszał, co mówił do nie- go Mirek. Szedł, trzęsąc głową, jak paralytyk, i tylko od czasu do czasu z ust jego wyrwał się szep- t:

— Boże... Boże...

— No, czekaj, widzę, że ledwie nogami wleciesz. Od- pocznijmy sobie.

Zatrzymali się przy mostku na polnej drodze, którą szli.

W tym momencie Dalecki wybuchnął nagle spazma- tycznym płaczem. Mirek nie próbował go uspokajać.

— Niech się wypłacz... to mu ulży...

I rzeczywiście po jakimś czasie uspokoił się.

— Masz rację — zaczął mówić — nie mam już sił, muszę stąd wyjechać... Nie mogę dłużej. Pójdę jutro do lekarza, czuję się i fizycznie źle. Zdaje się, że się prze-ziębiłem na nocnych ćwiczeniach zmokłem do nitki — wiesz, taka ulewa była — i kłuje mnie teraz.

Umilkł, a po chwili smutne jego oczy zabłyśły uczu- ciem serdeczności, chwycił ręce Mirka i ściskając je mocno, powiedział:

— A tobie, Mirku, niech Bóg zapłaci za twą dobroć dla mnie.

W domu czekała na Daleckiego żona z kolacją. Usiadł naprzeciw niej i patrzył przez dłuższą chwilę szukając słów, jakimi by zacząć.

— Słuchaj, już dawno chciałem z tobą porozmawiać

24) o czemś... Jeszcze nie wiem, jak postanowię i co zrobię. Teraz czuję tylko jedno: jestem chory, wyczerpany ner- wowo i muszę odpocząć, wyjechać gdzieś...

— Jakto wyjechać? Bezemnie? Sam? A ja co? Mam tu w tej dziurze samą gniń? O! nie kochasiu! Nie uda ci się to. Wiem co ci się uśmiecha. Swoboda, wolność. Pan i władca znudził się i pragnie pobujać sobie zdala od żony.

Zerwała się z krzesła jak furja.

— Niee, kochasiu, ty myślisz, że ja pozwolę na to, że- byś sobie szukał jakiejs pocieszenieli od nerwów?... Ty myślisz, że ja nie wiem, z jakimi lafiryndami ty się po nocach wleciesz i wycierasz ławki w alejce? Nie wie- rzyłam, ale teraz widzę, że prawdę mi ludzie mówili. Och, ja nieszcześliwa! — chwyciła się za włosy i rzuciła się na otomanę, ikając hysterycznie.

Dalecki zacisnął zęby, aż mu zatrzęszczały szczęki.

— Przestań! — wydusił z siebie. Nagle chwycił go kaszel i równocześnie ostry ból, jakby mu kto wbił nóż pod łopatkę, przeszył mu nawskroś piersi. Nie zwraca- jąc już uwagi na żonę, dźwignął się od stołu i poszedł do sypialni, by się położyć. Chwilę nadsłuchiwał głosów z przyległego pokoju, a potem, niewiadomo kiedy, zapadł w męczący, gorączkowy sen.

W mieszkaniu przylegającym, tuż obok, kpt. Wołowy przerabiał z synem lekcję gramatyki.

Syn nie grzeszył zbytby lotnością umysłu, a przy- tem był leniwy i ojciec martwił się tem srode.

Codziennie też, po powrocie z koszar, chociaż był zmęczony, zasiadał z synem do stołu i uczył go. Thma- czył mu jak to źle jest, gdy się czegoś nie umie. Opo- wiadał o swoich czasach szkolnych w rosyjskich szko- łach, gdzie nie miał możliwości uczenia się ojczystego ję-

zyka i tylko matce zawdzięczał posiadane wiadomości o kraju.

— A ty — widzisz — masz możliwość i nie chcesz się uczyć. Ech, nie dobrze, synku. Nu, zaczynamy!

Z książką pod pachą, wetkniętą mu przez por. Globu- sa, po kolacji przyszedł por. Wnęsik do domu.

— Bardzo ciekawa książka, zobaczysz — zalecał mu Globus.

Przeczytał nazwisko i tytuł: Huxley „Ostrze na ostrze”. — Ciekawa? A no, zobaczmy. Pójdziemy na- przód do łóżeczka i będziemy czytać.

— Jasiu! Ściągnij mi buty! A uważnie, djabie, bo mi nogę wykręcisz!

Ułożył się z zadowoloną miną w łóżku, otworzył książkę i czytał. Po pewnym czasie por. Wnęsik, prze- zwany Śpiasikiem, spojrzął na zegarek i zdumiał się.

— Co? Już jedenasta?! Hm, i nie chce mi się spać?

Naprawdę ciekawa rzecz — — a raczej... książka cie- kawa. Czytajmy dalej, to przyjemniejsze od spania.

Stół w pokoju pporuczników Kamy i Radzickiego przypominał warsztat. Leżały na nim druty, deszczułki, blaszki, płytki ebonitowe, śrubki i t. p. sprzęt do budo- wy aparatu radiowego, nad którym, już od kilku tygod- ni motali się — w wolny czas — obaj porucznicy.

Dziś miała się już odbyć pierwsza próba i Radzicki z uroczystą i skupioną miną wdział słuchawki i pociąg- nął za wyłącznik. Chwilę kręcił tarczą kondensatora, wciąż mając wyraz natężonej uwagi na twarzy. Naraz z ust jego wydął się triumfujący okrzyk:

— Jest!!!

Kama odebrał mu słuchawki i słuchał przez chwilę. (D. c. n.).

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal- ty (na wszystkich stronach po 6 szpal- ty na 1-jej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszynski.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny) 6.58.66 (dział miejski i liter-art.); 6.66.53 (międzymiastowy). Sekre- tarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691.64 Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Jędrzejki 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto cze- kowe P. K. O. Nr. 13550.